Opowieść o miłości, rozstaniu, przyjaźni, poświęceniu, wygnaniu i burzliwych dziejach Afganistanu rozciągnięta na trzy kontynenty i 60 lat historii.

„The Time"

I GÓRY ODPOWIEDZIAŁY ECHEM

Miłość, która nie zna granic czasu ani przestrzeni.

„Sunday Express"

KHALED HOSSEINI

1

Jesień 1952

No dobrze. Chcecie usłyszeć jakąś historię, więc ją wam opowiem. Ale tylko jedną. Niech żadne z was nie prosi mnie o więcej. Jest już późno, a ty, Pari, i ja mamy jutro przed sobą długą drogę. Powinnaś się wyspać. Ty też, Abdullahu. Liczę na ciebie, chłopcze. Tak jak twoja matka. Opiekuj się rodziną, gdy siostry i mnie nie będzie. Ale do rzeczy. Więc jedna opowieść na dobranoc. Słuchajcie uważnie oboje. I nie przerywajcie mi.

Dawno, dawno temu, w czasach, kiedy po ziemi chodziły dewy — złe duchy — dżiny i olbrzymy, żył sobie chłop, który nazywał się *baba** Ajub. Mieszkał z rodziną w ubogiej wiosce o nazwie Majdan Sabz. Ponieważ miał wiele gąb do wyżywienia, przez całe dnie ciężko pracował. Codziennie harował od świtu do zmierzchu: orał poletko, obsiewał je, pielęgnował mizerne pistacje. Można go było zobaczyć na polu o każdej porze, pochylonego, z plecami wygiętymi w

---

* *Baba* (farsi) — ojciec.

łuk jak ostrze kosy, którą przez cały czas machał. Na dłoniach miał odciski, często były pokrwawione, a wieczorem, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki, zasypiał jak kamień.

Nie był jednak pod tym względem osamotniony. Wszystkim w Majdan Sabz ciężko się żyło. Na północy leżały inne, zamożniejsze wioski — w dolinach, z drzewami owocowymi, kwiatami i kojącym powietrzem, gdzie potoki toczyły zimne, czyste wody. Majdan Sabz natomiast była położona na odludziu i jej nazwa, Pole Zieleni, w najmniejszym nawet stopniu nie odpowiadała rzeczywistości. Wioska znajdowała się na jałowej równinie otoczonej łańcuchem skalistych gór. Gorący wiatr sypał piaskiem w oczy. Codziennym wyzwaniem było znalezienie wody, ponieważ miejscowe studnie, nawet te głębokie, często wysychały. Owszem, w pobliżu płynęła rzeka, ale żeby do niej dotrzeć, mieszkańcy wioski musieli iść pół dnia, a i tak jej wody przez cały rok były zamulone. Teraz, po dziesięciu latach suszy, stała się wąską strugą. Powiedzmy, że ludzie w Majdan Sabz pracowali dwa razy ciężej niż inni, a mieli o połowę mniej.

Mimo to *baba* Ajub uważał się za szczęśliwego człowieka, bo miał rodzinę, która była mu droższa ponad wszystko. Kochał żonę i nigdy nie podnosił na nią głosu, a już na pewno nie ręki. Cenił jej rady, a jej towarzystwo sprawiało mu prawdziwą przyjemność. Jeśli chodzi o dzieci, Bóg pobłogosławił go tyloma, ile dłoń ma palców — trzema synami i dwiema córkami — wszystkich ich darzył wielką miłością. Dziewczęta były posłuszne, miały dobre charaktery i cieszyły się powszechnym szacunkiem. Chłopców

wychował na uczciwych, odważnych, życzliwych i ciężko pracujących ludzi, którzy się nie skarżą. Okazywali mu posłuszeństwo, jak przystało na dobrych synów, i pomagali w pracy na roli.

Chociaż *baba* Ajub kochał wszystkie swoje dzieci, miał szczególną słabość do jednego z nich, najmłodszego trzyletniego Ghaisa. Był to malec o ciemnoniebieskich oczach, a wszystkich, z którymi się stykał, ujmował łobuzerskim śmiechem. Należał do tych chłopców, którzy tryskają energią, czerpiąc ją od innych. Kiedy nauczył się chodzić, tak mu się to spodobało, że wędrował przez całe dnie, gdy tylko nie spał, a potem nawet w nocy, kiedy spał, co było niepokojące. Opuszczał we śnie rodzinną chatę z błota i znikał w ciemnościach rozświetlonych tylko blaskiem księżyca. Oczywiście jego rodzice bardzo się tym martwili. Co by było, gdyby wpadł do studni, zgubił się albo, co gorsza, został napadnięty przez jedno z tych stworzeń, które czają się na równinach? Próbowali różnych sposobów, żeby zatrzymać go w domu, ale żaden nie działał. W końcu *baba* Ajub znalazł rozwiązanie, bardzo proste, jak wszystkie najlepsze rozwiązania: z szyi jednej ze swoich owiec zdjął mały dzwonek i powiesił go na szyi Ghaisa. Dzwonek zawsze kogoś budził, gdy chłopiec wstawał z łóżka w środku nocy. Dzięki temu ustały nocne wędrówki, ale chłopiec tak przyzwyczaił się do dzwonka, że nie chciał się z nim rozstać. Tak więc, choć dzwonek nie był już potrzebny, wisiał na sznurku na jego szyi. Kiedy *baba* Ajub wracał do domu po długim dniu pracy, Ghais wybiegał mu naprzeciw i pierwszy przypadał do jego brzucha, podzwaniając przy każdym kroku. *Baba* Ajub brał go na ręce i zanosił do chaty, a tam

Ghais obserwował z uwagą, jak ojciec się myje, a potem zasiadał obok niego do kolacji. Po posiłku *baba* Ajub popijał herbatę, patrzył na rodzinę i wyobrażał sobie dzień, w którym wszystkie jego dzieci się pożenią i wyjdą za mąż, i dadzą mu wnuki, a on stanie się dumnym patriarchą jeszcze większej gromadki.

Niestety, Abdullahu i Pari, szczęśliwe dni w życiu *baby* Ajuba dobiegły końca.

Stało się to pewnego dnia, gdy do Majdan Sabz przybył dew. Kiedy zbliżał się do wioski od strony gór, ziemia trzęsła się przy każdym jego stąpnięciu. Chłopi porzucili łopaty, motyki i siekiery i rozpierzchli się przerażeni. Zamknęli się w domach i przytulili jeden do drugiego. Gdy ogłuszający huk kroków dewa ucichł, niebo nad Majdan Sabz poczerniało od jego cienia. Opowiadano, że na głowie miał zakrzywione rogi, na ramionach szorstką czarną szczecinę, a z tyłu gruby ogon. Jego oczy podobno żarzyły się czerwienią. Nikt nie wie tego na pewno, rozumiecie, a przynajmniej nikt z żyjących: dew zjadał na miejscu tych wszystkich, którzy ośmielili się choć raz na niego spojrzeć. Wiedząc to, mieszkańcy wioski przezornie wbijali wzrok w ziemię.

Wszyscy w wiosce domyślali się, po co przyszedł dew. Słyszeli opowieści o jego odwiedzinach w innych wioskach i mogli się tylko dziwić, że Majdan Sabz tak długo uchodziła jego uwagi. Być może — rozumowali — zawdzięczali to biednemu znojnemu życiu, jakie wiedli, bo ich dzieci nie były dobrze karmione i nie miały przy kościach tyle ciała co inne. Tak czy owak, w końcu opuściło ich szczęście.

Cała Majdan Sabz trzęsła się ze strachu i wstrzymywała oddech. Rodziny modliły się, żeby dew ominął ich dom, bo

zdawały sobie sprawę, że jeśli zastuka w ich dach, będą musiały oddać jedno dziecko. Potwór wsadzi je do worka, który zarzuci sobie na ramię, i wróci tam, skąd przyszedł. Nikt nigdy więcej nie zobaczy biednego dziecięcia. A jeśli domownicy sprzeciwią się dewowi, uprowadzi wszystkie dzieci.

Dokąd dew zabierał swoje ofiary? Do fortu, który stał na szczycie stromej góry. Było to bardzo daleko od Majdan Sabz. Żeby tam dotrzeć, należało przebyć doliny, kilka pustyń i dwa łańcuchy górskie. Zresztą kto przy zdrowych zmysłach by się na to odważył, zwłaszcza że na miejscu czekała go tylko śmierć? Mówiono, że w forcie jest pełno lochów, a na ich ścianach wiszą rzeźnickie tasaki. Że u sufitów dyndają haki na mięso. A na posadzce znajdują się paleniska i wielkie rożny. Że jeśli dew złapie śmiałka, który dostał się do fortu, to nawet może przezwycięży niechęć do mięsa dorosłego człowieka.

Chyba się domyślacie, w który dach zastukał budzący grozę dew. Usłyszawszy ten dźwięk, *baba* Ajub krzyknął rozpaczliwie, a jego żona zemdlała i osunęła się na podłogę. Dzieci zaczęły płakać z przerażenia i rozpaczy, bo wiedziały, że jedno z nich zostanie zabrane. Na złożenie ofiary rodzina miała czas do świtu.

Jak mogę opisać cierpienie *baby* Ajuba i jego żony? Żaden rodzic nie powinien być stawiany przed takim wyborem. Gdy dzieci nie słyszały, Ajub i jego małżonka debatowali, co uczynić. Rozmawiali i płakali, rozmawiali i płakali. Przez całą noc rozważali wszystko od nowa i choć do świtu było coraz bliżej, wciąż nie mogli podjąć decyzji — czego być może dew oczekiwał, bo dzięki temu mógłby zabrać całą

piątkę dzieci. Wreszcie *baba* Ajub zebrał przed domem pięć kamieni takiej samej wielkości i kształtu. Na każdym napisał imię jednego dziecka, a potem wrzucił wszystkie do worka z grubego płótna. Podał worek żonie, a ta się wzdrygnęła, jakby w środku siedział jadowity wąż.

— Nie mogę się na to zdobyć — powiedziała do męża, kręcąc głową. — Nie potrafiłabym dokonać wyboru. Nie zniosłabym tego.

— Ja też nie — miał odpowiedzieć *baba* Ajub, kiedy zobaczył przez okno, że słońce zaraz wychynie zza wzgórz na wschodzie. Mieli mało czasu. Spojrzał smutno na pięcioro dzieci. Trzeba uciąć palec, żeby ocalić rękę. Zamknął więc oczy i wyjął z worka jeden z kamieni.

Chyba domyślacie się, który kamień wyciągnął *baba* Ajub. Ujrzawszy napisane na nim imię, krzyknął. Z krwawiącym sercem wziął najmłodszego synka w ramiona, a ten, ślepo ufając ojcu, radośnie zarzucił mu rączki na szyję. Dopiero gdy ojciec wystawił go przed chatę i zatrzasnął drzwi, mały Ghais zrozumiał, co się dzieje. *Baba* Ajub, lejąc łzy, stał, kiedy jego ukochane dziecko łomotało piąstkami w drzwi, z płaczem prosząc, aby *baba* wpuścił je do środka. Mamrotał tylko: „Wybacz mi, wybacz mi". Gdy ziemia zatrzęsła się pod stopami dewa, jego chłopczyk zawył cienkim głosem, po czym ziemia znowu zaczęła się trząść. W końcu zapanował spokój i zapadła martwa cisza, tak że słychać było jedynie zawodzenia *baby* Ajuba i jego gorące prośby, aby Ghais mu wybaczył.

Abdullahu, twoja siostra zasnęła. Nakryj jej stopy kocem. O tak. Dobrze. Może powinienem na tym zakończyć. Nie? Chcesz, żebym opowiadał dalej? Na pewno, chłopcze?

Niech ci będzie.

Na czym to ja skończyłem? A tak. Nastąpił czterdziestodniowy okres żałoby. Sąsiedzi codziennie gotowali rodzinie posiłki i przy niej czuwali. Przynosili rozmaite podarki — herbatę, cukierka, chleb, migdały — składali kondolencje i wyrazy współczucia. *Baba* Ajub z trudem wypowiadał słowa podziękowania. Siedział w kącie, a z jego oczu płynęły strumienie łez, jakby chciał zakończyć panującą we wsi suszę. Nie można życzyć takich cierpień nawet najpodlejszemu z ludzi.

Minęło kilka lat. Susza trwała i wioska Majdan Sabz popadła w jeszcze większą nędzę. Kilkoro małych dzieci zmarło z pragnienia w kołyskach. Poziom wody w studniach był coraz niższy, a rzeka wyschła, w przeciwieństwie do zgryzoty *baby* Ajuba, która wzbierała i wzbierała z każdym dniem. Rodzina już nie miała z niego pożytku. Nie pracował, nie modlił się, prawie nic nie jadł. Żona i dzieci błagały go, żeby się tak nie zamartwiał, daremnie. Jego obowiązki przejęli synowie, bo *baba* Ajub nie robił nic, tylko całe dnie siedział samotnie na skraju pola i spoglądał żałośnie w stronę gór. Przestał rozmawiać z mieszkańcami wioski, ponieważ sądził, że obgadują go za plecami i mówią, że jest tchórzem, bo oddał synka bez walki. Że nie nadaje się na ojca. Prawdziwy ojciec stawiłby czoło dewowi. Oddałby życie, broniąc rodziny.

Pewnego wieczoru powiedział o tym żonie.

— Ależ niczego takiego nie mówią — odparła. — Nikt nie uważa cię za tchórza.

— Przecież słyszę — odrzekł.

— Słyszysz własny głos, mężu. — Nie powiedziała mu,

że sąsiedzi rzeczywiście obgadują go za jego plecami. Ale szepczą między sobą co innego: że chyba zwariował.

I któregoś dnia potwierdził ich przypuszczenia. Wstał o wschodzie słońca, nie budząc żony ani dzieci, schował do worka kilka kawałków chleba, założył buty, przytroczył do pasa kosę i wyruszył w drogę.

Szedł wiele, wiele dni. Wędrował, aż słońce stawało się czerwonym światełkiem w oddali. Noce spędzał w jaskiniach, poza którymi gwizdał wiatr. Albo spał nad jakąś rzeką, pod drzewami, wśród skał. Jadł chleb, który wziął z sobą, a potem to, co udało mu się znaleźć — dzikie jagody, grzyby, ryby, które łapał w strumieniach gołymi rękami — a czasem nie jadł w ogóle. Jednak wytrwale podążał przed siebie. Kiedy napotkani ludzie pytali go, dokąd idzie, mówił prawdę, a wtedy jedni się śmiali, inni odchodzili pospiesznie, bojąc się, że jest szaleńcem, a jeszcze inni modlili się za niego, bo także musieli oddać swoje dziecko dewowi. On nie podnosił głowy i szedł dalej. Kiedy rozpadły mu się buty, przywiązał je sznurkiem do stóp, a gdy sznurki puściły, wędrował boso, przemierzając pustynie, doliny i góry.

Wreszcie *baba* Ajub dotarł do szczytu, na którym stał fort dewa. Tak spieszno mu było wypełnić swoje zadanie, że nie odpoczął, tylko natychmiast przystąpił do wspinaczki. Był w łachmanach, stopy mu krwawiły, włosy miał zlepione pyłem, ale się nie wahał. Ostre skały raniły mu stopy, jastrzębie dziobały go po twarzy, gdy mijał ich gniazda. Gwałtowne porywy wiatru o mało nie strąciły go ze zbocza góry. Ale on piął się coraz wyżej, od skały do skały, aż w końcu stanął przed potężną bramą fortu.

— Kto śmie się tu dobijać?! — zagrzmiał głos dewa, gdy

baba Ajub rzucił kamieniem w bramę.

Ajub odpowiedział, podając swoje imię.

— Przybywam z wioski Majdan Sabz — dodał.

— Życie ci niemiłe? Na pewno tak, skoro niepokoisz mnie w moim domu! Czego chcesz?

— Przyszedłem cię zabić.

Po drugiej stronie zapadła cisza. A potem brama otworzyła się i stanął w niej dew w całej swojej potwornej okazałości, górując nad *babą* Ajubem.

— Czyżby? — zapytał głosem niskim jak grom.

— A tak — odparł *baba* Ajub. — Tak czy owak, któryś z nas dzisiaj zginie.

Wydawało się przez chwilę, że dew podniesie *babę* Ajuba z ziemi i zabije go jednym kłapnięciem ostrych jak sztylety zębisk, jednak się zawahał i zmrużył ślepia. Może sprawiły to szalone słowa starego człowieka, a może jego wygląd, porwane ubranie, zakrwawiona twarz, pył, którym był pokryty od stóp do głów, otwarte rany na jego ciele. A może to, że w oczach starca nie dostrzegł ani śladu strachu.

— Skąd pochodzisz, jak powiadasz?

— Z Majdan Sabz — odrzekł *baba* Ajub.

— Majdan Sabz musi być daleko, sądząc po tym, jak wyglądasz.

— Nie przyszedłem tu na pogawędkę. Przyszedłem, żeby...

Dew podniósł łapę z pazurami.

— Tak, tak, przyszedłeś tu, żeby mnie zabić. Już słyszałem. Ale może wolno mi powiedzieć przed śmiercią kilka słów?

— Dobrze — zgodził się *baba* Ajub. — Ale tylko kilka.

— Dziękuję ci. — Dew się skrzywił. — Mogę spytać, co takiego ci zrobiłem, że chcesz mojej śmierci?

— Zabrałeś mi najmłodszego syna — wyjaśnił *baba* Ajub. — Był mi najdroższy na świecie.

Dew mruknął i poskubał się po brodzie.

— Zabrałem synów wielu ojcom — odparł.

Baba Ajub gniewnie wyciągnął kosę.

— W takim razie zemszczę się także w ich imieniu.

— Muszę powiedzieć, że twoja odwaga budzi podziw.

— Co mi tam odwaga — prychnął *baba* Ajub. — Żeby być odważnym, trzeba mieć coś do stracenia. A ja nie mam.

— Możesz stracić życie — zauważył dew.

— Już mi je odebrałeś.

Dew mruknął i przyjrzał się uważnie *babie* Ajubowi. Po chwili powiedział:

— Dobrze więc, stanę z tobą do pojedynku. Ale najpierw chciałbym, żebyś poszedł za mną.

— Tylko szybko, bo moja cierpliwość się kończy.

Dew jednak szedł już w głąb wielkiego korytarza i *baba* Ajub nie miał wyboru, musiał pójść za nim. Podążał za potworem labiryntem korytarzy, których sufit, wsparty na wielkich kolumnach, sięgał niemal chmur. Mijali wiele schodów i sal tak wielkich, że zmieściłaby się w nich cała Majdan Sabz. Szli i szli, aż wreszcie dew wprowadził *babę* Ajuba do olbrzymiego pomieszczenia, na którego końcu wisiała zasłona.

— Podejdź bliżej. — Przywołał go gestem.

Baba Ajub stanął obok niego.

Dew odsunął zasłonę. Za nią było okno, a za oknem rozciągał się wielki ogród. Otaczały go szeregi cyprysów, pod którymi rosły kwiaty we wszystkich kolorach tęczy. Były tam też baseny wyłożone niebieskimi kafelkami,

marmurowe tarasy i soczyście zielone trawniki. *Baba* Ajub dostrzegł pięknie przycięte żywopłoty i fontanny szemrzące w cieniu granatowców. Gdyby żył trzy razy, nie potrafiłby wyobrazić sobie tak pięknego miejsca.

Ale rzuciło go na kolana co innego: widok dzieci biegających wesoło po ogrodzie. Goniły się po alejkach i między drzewami, bawiły w chowanego za żywopłotami. *Baba* Ajub przyglądał im się uważnie i wreszcie znalazł to, czego wypatrywał. Tak! Jego syn Ghais żył i czuł się nie tylko dobrze, ale wręcz bardzo dobrze. Urósł i miał dłuższe włosy, niż *baba* Ajub pamiętał. Był ubrany w białą koszulę i ładne spodnie. Śmiał się radośnie, goniąc dwóch kolegów.

— Ghais — szepnął *baba* Ajub. Potem zawołał syna po imieniu.

— On cię nie słyszy — powiedział dew. — Ani nie widzi.

Baba Ajub zaczął podskakiwać, machać rękami, walić w szybę, aż w końcu dew zaciągnął zasłonę.

— Nic nie rozumiem — odezwał się *baba* Ajub. — Myślałem, że...

— To twoja nagroda — odparł dew.

— Wyjaśnij mi! — zażądał *baba* Ajub.

— Poddałem cię próbie.

— Próbie?

— A właściwie twoją miłość. To było prawdziwe wyzwanie, zdaję sobie z tego sprawę. Ale zdałeś egzamin. To twoja nagroda. I jego.

— A gdybym podjął inną decyzję?! — krzyknął *baba* Ajub. — Gdybym nie chciał poddać się próbie?

— Wtedy wszystkie twoje dzieci by zginęły, bo i tak byłyby przeklęte, mając za ojca tak słabego człowieka —

odparł dew. — Tchórza, który wolałby skazać je na śmierć, niż obciążyć swoje sumienie. Twierdzisz, że nie jesteś odważny, ale ja widzę w tobie odwagę. To, co zrobiłeś, biorąc na swoje ramiona ciężkie brzemię, wymagało ogromnej odwagi. I za to cię szanuję.

Baba Ajub niepewnie wyciągnął kosę, ale wysunęła mu się z ręki i z głośnym brzękiem upadła na marmurową posadzkę. Ugięły się pod nim nogi i musiał usiąść.

— Syn cię nie pamięta — ciągnął dew. — Takie teraz prowadzi życie i sam widziałeś, że jest szczęśliwy. Dostaje tu najlepsze jedzenie i ubrania, jest otoczony przyjaźnią i serdecznością. Uczy się malować, języków obcych, nauk ścisłych i uczy się pomagać innym. Nic go to nie kosztuje. Pewnego dnia, gdy będzie dorosłym mężczyzną, być może zechce odejść, i to zrobi. Przypuszczam, że wniesie w życie wielu ludzi dobroć, a strapionym da szczęście.

— Chcę go zobaczyć — powiedział *baba* Ajub. — I zabrać do domu.

— Naprawdę?

Baba Ajub uniósł głowę i spojrzał na dewa.

Potwór podszedł do szafy, która stała niedaleko zasłony, i wyjął z jednej z szuflad klepsydrę.

— Czy wiesz, Abdullahu, co to jest klepsydra? Wiesz. To dobrze.

No więc dew wziął ją, odwrócił i postawił u stóp *baby* Ajuba.

— Pozwolę ci zabrać go do domu — rzekł. — Ale jeśli to zrobisz, nigdy już nie będzie mógł tu wrócić. Jeżeli zostawisz go tutaj, ty nigdy tu nie wrócisz. Gdy przesypie się cały piasek, powiesz mi, jaką podjąłeś decyzję.

Po tych słowach dew wyszedł z sali, zostawiając *babę* Ajuba z kolejnym bolesnym wyborem, którego musiał dokonać.

Zabiorę go do domu, pomyślał natychmiast *baba* Ajub. Tego pragnął najbardziej, całym swoim jestestwem. Czy nie wyobrażał sobie tej chwili w setkach snów? Że znowu przytuli małego Ghaisa, pocałuje go w policzek i poczuje miękkie małe rączki w swoich dłoniach? A mimo to... Jeśli zabierze go do domu, jakie życie czeka chłopca w Majdan Sabz? W najlepszym razie ciężki żywot chłopa, taki jak jego, i niewiele więcej. A i to, jeśli nie umarłby na skutek suszy, jak tyle dzieci z wioski. Wybaczyłbyś to sobie, zapytał *baba* Ajub samego siebie, mając świadomość, że dla własnych samolubnych powodów pozbawiłeś go życia w dobrobycie, pełnego możliwości? Ale z drugiej strony, gdyby zostawił Ghaisa, jak mógłby egzystować, wiedząc, że jego syn żyje, wiedząc, gdzie przebywa, ale nie mogąc go zobaczyć? Jak wytrzyma? *Baba* Ajub zapłakał. Był tak zrozpaczony, że wziął klepsydrę i rzucił nią o ścianę, tak że szkło rozprysło się na tysiące kawałków, a drobny piasek rozsypał po całej podłodze.

Dew wrócił i zastał go stojącego z opuszczonymi rękami nad rozbitą klepsydrą.

— Jesteś okrutną bestią — odezwał się *baba* Ajub.

— Gdybyś żył tak długo jak ja, przekonałbyś się, że okrucieństwo i dobroć to odcienie tego samego koloru — odparł dew. — Czy już wybrałeś?

Baba Ajub wytarł oczy, podniósł kosę i przypiął do pasa. Ze zwieszoną głową wolno ruszył do drzwi.

— Dobry z ciebie ojciec — orzekł dew, kiedy *baba* Ajub

go mijał.

— Żebyś smażył się w ogniu piekielnym za to, co mi zrobiłeś — jęknął *baba* Ajub.

Wyszedł z sali i oddalał się korytarzem, gdy dew go zawołał.

— Weź to — powiedział i wręczył *babie* Ajubowi małą szklaną flaszkę, w której znajdował się ciemny płyn — i wypij podczas wędrówki do domu. A teraz żegnaj.

Baba Ajub wziął flaszkę i wyszedł bez słowa.

Wiele dni później jego żona siedziała na skraju rodzinnego poletka, wyglądając go tak samo, jak on niegdyś wyglądał Ghaisa. Z każdym mijającym dniem jej nadzieja, że go ujrzy, malała. Ludzie w wiosce mówili już o *babie* Ajubie w czasie przeszłym. Pewnego razu znowu usiadła na ziemi i odmawiała modlitwę, gdy zobaczyła chudą postać zbliżającą się do Majdan Sabz od strony gór. Początkowo sądziła, że ten wychudzony mężczyzna w łachmanach, z podkrążonymi oczami i zapadniętymi policzkami to zagubiony derwisz, ale kiedy się zbliżył, rozpoznała w nim swojego męża. Z radości serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Poczuła taką ulgę, że aż się rozpłakała.

Gdy już się umył, napił i najadł, *baba* Ajub położył się na łóżku w chacie, a sąsiedzi krążyli wokół niego i zasypywali go pytaniami.

— Dokąd zaszedłeś, *babo* Ajubie?

— Coś widział?

— Co ci się przydarzyło?

Baba Ajub nie mógł odpowiedzieć na te pytania, bo nie miał pojęcia, co się z nim działo. Nie pamiętał nic z podróży: wspinaczki na górę dewa, rozmowy z nim, wielkiego pałacu,

sali z zasłoną. Miał wrażenie, jakby obudził się ze snu, który już zapomniał. Nie pamiętał sekretnego ogrodu, dzieci, a przede wszystkim nie pamiętał, że widział swojego syna bawiącego się z kolegami wśród drzew. A nawet, gdy ktoś wypowiadał imię Ghaisa, *baba* Ajub mrugał zdziwiony. „Kto taki?" — pytał. Nie przypomniał sobie, żeby kiedykolwiek miał dziecko imieniem Ghais.

Rozumiesz, Abdullahu, na czym polegał ten akt łaski? Napój pomógł mu wymazać to wszystko z pamięci. To była dla niego nagroda za to, że przeszedł pomyślnie drugą próbę dewa.

Tamtej wiosny niebo nad Majdan Sabz wreszcie się otworzyło. Spadła nie lekka mżawka, jak w poprzednich latach, ale prawdziwa ulewa. Lał deszcz i wszyscy mieszkańcy wioski wyszli z domów, żeby się nim nacieszyć. Przez cały dzień bębnił o dachy Majdan Sabz, tłumiąc wszelkie inne odgłosy świata. Wielkie ciężkie krople kapały z końców liści. Studnie się napełniły, a rzeki wezbrały. Wzgórza na wschodzie pokryły się zielenią. Kwiaty zakwitły i po raz pierwszy od wielu lat dzieci bawiły się na trawie, a krowy pasły. Wszyscy bardzo się cieszyli.

Kiedy deszcze ustały, mieszkańcy wioski mieli co robić. Kilka ścian z błota się obsunęło, kilka dachów zapadło i całe połacie pól uprawnych zamieniły się w mokradła. Ale po biedzie, w jakiej żyli przez dziesięć ostatnich lat, ludzie z Majdan Sabz nie narzekali. Ściany odbudowano, dachy naprawiono, wykopano kanały odwadniające. Jesienią *baba* Ajub zebrał najpiękniejsze pistacje w życiu, a w kolejnych latach plony były jeszcze lepsze, zarówno pod względem ilości, jak i jakości. W wielkich miastach, w których

sprzedawał swoje zbiory, *baba* Ajub siedział dumnie za piramidami pistacji i uśmiechał się promiennie, jakby był najszczęśliwszym człowiekiem chodzącym po ziemi. Majdan Sabz już nigdy więcej nie nawiedziła susza.

Co jeszcze mogę powiedzieć, Abdullahu? Być może zapytasz, czy przystojny młody człowiek podróżujący konno przejechał kiedyś przez wioskę, zmierzając na spotkanie wspaniałych przygód? Czy zatrzymał się tam, aby napić się wody, której w wiosce już nie brakowało, i podzielić się chlebem z mieszkańcami, może nawet z samym *babą* Ajubem? Nie potrafię powiedzieć, chłopcze. Mogę cię natomiast zapewnić, że *baba* Ajub dożył późnej starości. Był świadkiem, jak jego synowie się żenią, a córki wychodzą za mąż, tak jak zawsze tego pragnął, a potem dają mu wnuki, z których każdy był dla niego wielkim szczęściem.

Mogę ci też powiedzieć, że czasami w nocy *baba* Ajub bez szczególnego powodu nie mógł spać. Chociaż był już bardzo starym człowiekiem, nogi miał sprawne i mógł chodzić o lasce, więc w takie bezsenne noce wstawał z łóżka, nie budząc żony, brał laskę i wychodził z chaty. Szedł w ciemnościach, stukając laską, a nocny wiatr wiał mu w twarz. Na skraju jego pola był płaski kamień, siadał więc na nim i często trwał tak przez godzinę albo i dłużej. Patrzył w gwiazdy, na chmury przepływające obok księżyca. Myślał o swoim długim życiu i dziękował za całe to piękno i radość, jakie były mu dane. Wiedział, że chcieć więcej, jeszcze więcej, byłoby małostkowe. Wzdychał z zadowoleniem, słuchał szumu wiatru wiejącego od gór i szczebiotu nocnych ptaków.

Co jakiś czas jednak wydawało mu się, że słyszy coś

jeszcze. Zawsze to samo: wysoki dźwięk dzwonka. Nie bardzo wiedział, skąd miałby dochodzić, przecież był sam, a wokół niego tylko śpiące owce i kozy. Czasami wmawiał sobie, że niczego takiego nie słyszy, a czasami był przekonany, że wręcz przeciwnie, i wtedy wołał w mrok: „Jest tam kto?! Kto tam?! Pokaż się!”.

Ale nigdy nie usłyszał odpowiedzi. *Baba* Ajub nic z tego nie rozumiał. Tak jak nie rozumiał, dlaczego zawsze, kiedy słyszy to dzwonienie, ogarnia go dziwne uczucie, jak na końcu smutnego snu, i za każdym razem go to zaskakuje, niczym niespodziewany powiew wiatru. Ale potem to mijało, jak wszystko. Przechodziło.

A więc, chłopcze, to już koniec opowieści. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Zrobiło się już naprawdę późno, jestem zmęczony, twoja siostra i ja musimy wstać o świcie. Zgaś świecę. Połóż głowę na poduszce i zamknij oczy. Śpij dobrze, chłopcze. Pożegnamy się rano.